

nie, półgłosem, prowadzoną rozmowę. Ani chybi, ktoś w niej nocował... Obuta w tenisówki kroczyła bezszelestnie i na pewno nie była słyszana wewnątrz stodoły, a dodatkowo, nocujący tam ludzie, nie grzeszyli nadmiarem ostrożności.

Maria domyśliła się, że tam nie nocują spragnieni nawzajem siebie kochankowie, ani nikt z mieszkańców Łobudzi, a więc kto?... Chyba ktoś kryjący się przed okupantem. Uciekinier z więzienia? Pewnie tak... O swym odkryciu nie powiedziała jednak nikomu, nawet Wełninie, chociaż miała do niej bezgraniczne zaufanie.

Tymczasem szeptana fama rozeszła się i pojawiła się pogłoska, że w stodole nocują zbiegli z niemieckiej niewoli rosyjscy żołnierze. Maria nie dowierzała tym pogłoskom, bo przecież w pobliżu nie było obozu dla rosyjskich jeńców. Tymczasem naprawdę trudno było rozszyfrować powstałą zagadkę. Stan taki trwał przez dłuższy czas, aż którejś nocy, gdy w ubogiej chatce nocowała Maria, do drzwi Wełniny ktoś delikatnie zapukał. Gospodyni, nie czując lęku, podeszła do drzwi.

– Kto tam? – spytała zdziwiona. – Kto tam?

– Gospodina... pani... miejcie spiczki? – usłyszała pytanie.

– Pani... – jęknęła przestraszona nagle kobieta, zwracając się do obudzonej również Marii. – Pani... Czego on chce!?

Na szczęście Maria usłyszała pytanie, bo pukający mężczyzna ponowił swą prośbę:

– Gaspodina, pani... miejcie spiczki?

– O Boże – jęknęła Wełnina.

– Niech się pani nie boi – wyszeptła w odpowiedzi Maria. – Zapalki... On się pyta o zapalki.

Wełnina, drząc z przejęcia, skoczyła do kredensu. Chwyliła pudełeczko zapalek i uchylając drzwi, podała je rosyjskiemu zbiegowi. Jednocześnie, gestem ręki dała znać, żeby wziął sobie całe pudełeczko.

– Spasiba... Spasiba – podziękował Rosjanin i zniknął w ciemności.

Następnego dnia obie kobiety długo debatały o nocnej wizycie Rosjanina. Szybko doszły też do wniosku, że pogłoska o rosyjskich zbiegach jest jak najbardziej prawdziwa i fakt ten wręcz przeraził właścicielkę chatki, gdyż obawiała się ona, ataku Niemców.

Po pewnym czasie uspokoiła się jednak i nie wspominała więcej o nocnej wizycie ruskiego. Tymczasem uciekinierzy najwyraźniej upodobałi sobie tę właśnie chatkę. Małą, ubożną. W takim domku na pewno nie mieszkał Niemiec, ani ktoś, kto się Niemcom wysługiwał.

Od wizyty potrzebującego zapalek Rosjanina minął jakiś czas, gdy znów na nocleg do Wełniny przybyła Maria i korzystając z ciepła „złotej polskiej jesieni”, usiadła sobie na jakimś zydłu przed chatą i zadumała się głęboko, wszak już prawie trzy lata trwała wojna; jakież los czekał zniewoloną Europę. Jaki los czekał ją i jej chłopców?...

Wtem, najniespodziewaniej na świecie, zza kępy brzoźek wychynęło cichaczem trzech mężczyzn. Brudni, nieogoleni, odziani w znożone, stare ubrania, z miejsca wydawali się podejrzani. Rozejrzeli się bacznie dookoła, aż wreszcie podeszli do siedzącej Marii.

– Dobry wieczór... Gospodina – przemówili śpiewnie z typowo rosyjskim akcentem. – Zdrastwujcie...

– Dobry wieczór – odparła bezgranicznie zdumiona Maria. – Dobry wieczór.

– Nu, gawari, Fjedia – zwrócili się dwaj z nich do trzeciego.

– Uciekliśmy z niemieckiej niewoli – powiedział po polsku Rosjanin, zwany Fjedia, a Maria natychmiast zauważyła, że jego akcent jedynie bardzo nieznacznie zdradzał wschodnie pochodzenie.

– Proszę, siadajcie – zachęciła przybyszów, wskazując ręką leżącą kłodę drzewa. – Tutaj jest całkiem bezpiecznie... Tutaj Niemcy nie przychodzą.

– My wiemy... My obserwujemy dokładnie wszystko... My...

– A dokąd idziecie? – spytała Wełnina, która nagle pojawiła się obok Marii.

– My?... Do swoich – odpowiedział Fjedia.

– Do swoich? – zdziwiła się Maria. – Przecież to potwornie daleko. Złapią was, zabiją... Przecież nie znacie drogi, kto was poprowadzi?

– Nas?... Fjedia... On charaszo znajet darogu – powiedział inny Rosjanin.

– To niemożliwe – orzekła Maria.

Wówczas Fjedia podniósł z ziemi patyk, wygładził ścieżkę i zaczął rysować na piasku, stawiając, gdzie uznał za słuszne, kropki i kreski.

– Tu jest Łask, tu Żelów... tu Bełchatów... a tu Piotrków... – powiedział wskazując ręką. – Tutaj jest Tomaszów, a tu Radom. Tu płynie Wisła... A tu...

I tak, z kropek i kresek Fjedii wyłoniła się, o dziwo, mapa środkowej Polski. Wyglądający niezbyt pociągający Rusek okazał się wręcz genialnym geografem. Można powiedzieć, że był doskonałym przewodnikiem i pod jego opieką, zbiegowie na pewno dotrą na skraj świata, a przynajmniej gdzieś do oddziału partyzantów w Kieleckim.

Maria była zaskoczona. W pierwszym momencie nie dowierzała oczywistym faktom. Przecież nie słyszała nawet, żeby jakiś Polak tak dokładnie znał, co najmniej połowę Polski.

– No, wspaniale – stwierdziła oczarowana. – Ale... pewnie jesteście głodni? – dodała chwilę potem, domyślając się potrzeby zbiegów. Rosjanie popatrzyli po sobie.

– Nu da... – przyznali skwapliwie, a Fjedia dodał:

– Gdyby pani miała cokolwiek więcej chleba, samego chleba...

– A tak – przyznała Wełnina. – Mam trochę chleba...

Chwilę potem przyniosła ze swej chaty pół bochna wiejskiego chleba, wielkiego niczym młyńskie koło, co u Rosjan wywołało prawdziwy entuzjazm. Z miejsca zaczęli łamać chleb i jeść niezwykłe łapczywie.

– Poczekajcie – powiedziała wtedy Maria. – Skombinuję trochę mleka i nie czekając ani chwili dłużej, chwyciła torebkę, w której brzęknęły ochoczo butelki. Nie minęło nawet pięć minut i z mlecznej wyprawy powróciła. Uśmiechając się z wyraźną dumą, wydobyła z torebki trzy litrowe butelki świeżego, słodkiego mleka i wręczyła je głodnym zbiegom.

Rosjanie złożyli ręce jak do modlitwy. Uznali, że polskie kobiety okazały się nad wyraz hojne. Dziękowali, kłaniając się wielokrotnie. Rosyjskie spasiba, mieszało się z polskim dziękuję, a wszystko razem uzupełniał radosny śmiech.

– A może... zjedlibyście trochę zalewajki? – przemówiła nieśmiało Wełnina. – Zostało trochę od obiadu.

– Nu, charaszo! – orzekli głodni goście.

Tymczasem, gospodni szybko rozpalili ogień i niebawem na stole pojawiły się trzy miseczki typowej, w okolicach Łodzi, polskiej zupy, zwanej zalewajką.

– Charoszuju zalewajku – chwalili goście gorący posiłek. – Włocziń charoszyj...

Po zjedzeniu zalewajki, Rosjanie, prawie natychmiast, opuścili gościnną chatkę, żegnani serdecznymi gestami obu kobiet.

– Niech was Bóg prowadzi – przemówiły prawie jednocześnie kobiety.

– Nu, charaszo – powiedzieli do Fjedii. – Prowadź Fjedia, prowadzi... Budiesz naszym Bogom...

Niebawem zniknęli w pobliskim lesie, a obie kobiety były nieomal szczęśliwe, że poratowały potrzebujących.

Wkrótce po tym zdarzeniu pojawiły się niemieckie patrole, ale przestali się też pojawiać Rosjanie, wyglądało to tak, jakby ich ktoś ostrzegł i niewykłuczono, że tak właśnie było.

Pod koniec czterdziestego trzeciego roku, Maria idąc nocą przez Las Rządowy, niedaleko Pabianic, była świadkiem spadochronowego zrzutu dwóch osobników. Niewiadomo, czy świadomie wybrali tę właśnie okolicę, czy też przypadkowo wylandowali w lesie. Znaleźli się w takiej gęstwinie, że przez pewien czas mieli kłopoty ze zdjęciem z drzew i ukryciem swych spadochronów.

Na tym skończyły się dziwne spotkania. Za to, po ostatecznej wpadce i aresztowaniu Marii, handlem zajęli się jej synowie – prawie jedenaastoletni Andrzej i dwa lata starszy Olek. Niebawem, przydarzyła im się osobliwa, handlowa przygoda, zakończona, oczywiście bez jakichkolwiek powikłań, ale dająca wiele do myślenia.

W tym miejscu należy uzupełnić, skąpe zresztą, dane o obydwu chłopcach. Bardzo ważnym elementem ich pozycji społecznej, był fakt, że obaj, całkiem nieźle „szwargotali” po niemiecku. Mieli otwarte głowy i giętkie języki, a przede wszystkim babkę, biegle mówiącą po niemiecku. Język, jakim posługiwała się babka chłopców, był ordynarnym slangiem, nabytym jeszcze przed pierwszą wojną światową; język ten nazywano powszechnie: „Lodzerdeutsch” (Lodzer-Dojcz) – czyli łódzko-niemiecki).

Chłopcom groziło nabycie tego właśnie slangu, ale tu na wysokości zadania stanęła Maria, korygując nieprawidłową wymowę słów. Nie mówiła po niemiecku, ale doskonale potrafiła skorygować wymowę pojedynczych wyrazów.

Po roku nauki obaj chłopcy całkiem nieźle opanowali język okupantów. Warto dodać, że mówili lepiej od sporej masy Volksdeutsche i przydarzyła im się tylko jedna, jedyna gafa, kiedy chcąc kupić bezpiecznik do licznika prądu, powiedzieli: – Fruchtpatrone (Fruchtpatrone – co oznaczało: owocowy nabój), ale sprzedawca elektrycznego sklepu obrócił wszystko w żart. Roześmiał się i spytał:

– Ist das etwas zu Essen? (Czy to jest coś do jedzenia?)

Zakłopotanym chłopcom wyjaśnił, że takie bezpieczniki to: – Lichtpatrone. Tu warty też powiedzieć, że łódzcy Volksdeutsche nazywali te bezpieczniki: – „Korken”, co miało związek z powszechnie używaną polską nazwą: – korki.

Tymczasem lingwistyczne talenty chłopców miały wręcz kapitalne znaczenie przy zakupach, bo Polaków obsługiwano w sklepach niechętnie, a gdzieniegdzie – wcale.

Chłopcy masowo wykupywali nici, szczególnie – „cwernowe”. Nitka taka była upleciona z trzech niteczek, była niezwykle mocna i takie właśnie nici szczególnie chętnie kupowano na wsi.

(Dokończenie na stronie 22)